ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. Kwietnia   Nr 14.   Roku 1844.

»NIE ŹLI SĄ LUDZIE!«

(Dokończenie.)

Pan Jan usiadł do fortepianu i po kilku akordach, które jak wiatr pustyni zawyły, ozwał się prześliczny tenor:

*

»Witaj mój koniu, szlachetny bieguniel
Jak sen proroka mnie miły.
Jak wieszczych tonów przeczucie gra w strunie,
Grają przed biegiem twe żyły.

Witaj mój koniu, gotowy do biegu!
Biela łabędzia świecący!
Jak promień słońca pomknięty po śniegu,
Chyży i lekki i drżący!

Pojrzyj mi w oczy! — twe włosy na czole,
Niby dziewicy warkocze;
Gdy wschodnim wiatrom puszczone na wolę,
Ukażą lica urocze.

A grzywa twoja, jak górskie potoki,
Z wyniosłéj szyi się zrywa;
I niby obłok, gdy niebo przepływa,
Traci się z-lekka na boki.

Wiéź twoja koniu i te biodra twoje,
To niby skała pustyni!
Którą wiatr puszczy piaskami oczyni,
I pozatacza w zawoje.

A kita twoja z-wysoka wisząca,
Na skwary puszczy i chłody:
Niby to suknia sułtanki szumiąca,
Kiedy się spuszcza w ogrody.

Twe czoło jawne jak tarcza Farysa!
A twoje boki mój koniu,
Grają i świecą jak boki tygrysa,
Gdy na łup czycha w ustroniu.

Nozdrza pryskają paszczami hyjeny,
Szyja w kształt palmy uroczéj,
Pod którą pielgrzym odpoczywa senny. —
A oczy twoje, te oczy!

O! to dwie perły z topieli tajemnéj,
A w czarnéj nocy skąpane! •
Albo dwie gwiazdy w pośród nocy ciemnéj,
Z nieba wschodniego zabrane.

Cwał twój to tuman pioruny niosący,
A jak myśl, nigdy skończony,
Daleko w okół wzdłuż pustyni grzmiący,
Lotnémi wiatry niesiony.

Witaj mój koniu, roskoszy Omaja!
Gwiazdo Farysa bez zmazy!
Niech cię tu mléko wielbłąda napaja,
I krzepi pasza oazy.

A gdy za wolą przeznaczeń tajemną,
Opuszczę ciebie, pustynię,
Kiedy ja legnę, to legnij ty ze mną!
Niechaj sam Farys nie ginie!

Dusza twa koniu, nie skończy na ziemi,
Ale się wzniesie jak rosa —
Tam całą wieczność z gwiazdami jasnémi
Będziem okrążać niebiosa.....«

*

Gdy skończył, trwało jeszcze przez długą chwilę milczenie, i wszyscy zdawali się ścigać myślami, zagorzałego Farysa po niebieskiéj pustyni.

Korzystając z tego milczenia obrócił się wójt do mnie i rzekł: »Kochany drużbo! Rzuć téż i ty co do karbony, jak klucznik powiada: *Pro publico bono!* Jeszcze nam się coś i od waszeci należy!«

»Ha, niech i tak będzie!« rzekłem. »Ja po staremu za drugimi!« — A kiedym wam już wszystko opowiedział, co się tego wieczora działo, nie zamilczę i o sobie, bo-by mnie słusznie wyrzut przyjaciół spotkał, żem sam stojąc w kącie, wzorki z nich pozbiérał; a jeżeli prawdą jest, że nawet cygan nie odmówił niczego w dobréj kompanii, dla czegoż ja miałbym być gorszy od cygana? To byłaby czysta parafiańszczyzna autorska, bawić świat drugimi a nie zabawić sobą.

Obejrzawszy się tedy w kole, widziałem że było najwięcéj Sanoczanów, więc zapytałem ich: »Wszak znacie pana Xawerego?«

»Znamy!« rzekli.

»Więc z jego młodości dam wam obrazek:

*

Hej hej, panowie, co wy za młodzi!
Wszystko was kwasi, wszystko was nudzi,
Coś niby górnie po głowach chodzi,
A lada służba to was już trudzi?
Wszystko to chcecie tak osobliwie,
I zagranicznie i doskonale;
Z-razu się każdy kopnie żarliwie,
A jak nie idzie, — już po zapale!
I na świat klątwy! — A mnie się roi,
Że pieprzu w sobie macie za mało!
Bo to krwią dobrą rzecz dobra stoi,
I tak za naszych czasów bywało! —
Nie był to wprawdzie czas tak zbyt jasny,
Nie był nazwany wiek liberalnym;
Jednak mieliśmy kraj i sejm własny,
I dzielne ludzie w tym sejmie walnym,
I szablę w ręku i krew i zdrowie.
Wiedziano jeszcze »kto i czém świéci?«
A dobrzy byli nasi ojcowie,
Hej a weselsze, niźli dziś, dzieci! —
— Ot tutaj, w naszéj sanockiéj ziemi,
Była panienka z óczmi ładnémi:
Otóż mnie do niéj tak rozebrało,
Żem z téj miłości nie umarł mało!
Mówili ludzie, nie bez kozery:
»Jak to przylepło, tak się odlepi!
I jeszcze ci się panie Xawery
Przy każdym palcu dziesięć uczepi.«
Lecz ból na poły serce rozrywał. —
Aż tu mój ojciec (świéć mu tam Panie!
I on ojczyźnie niegdyś służywał,)
Jak jedną razą na mnie powstanie:
»Co to ja słyszę? Waśćby się żenił?
Nie ceni szczęścia, kto nie okupił!«
— Rzekłem: »Mój ojcze, ja będę cenił!« —
»Ba też i bardzo! Nie bądź waść głupi!
Przymrzéj-no głodu wprzód dla ojczyzny,
Wytrzéjno łokcie waść po staremu,
Bo nie uczciwie kłaść się bez blizny,
W małżeńskie łoże i tak młodemu!
Ruszaj, na kresy, na Ukrainę!
To tam zapomniesz i tę dziéwczynę,
Kiedy ci przyjdzie wręcz na pałasze.
Tylko mi bardzo nie brykaj wasze!
Zopowiédz ludziom, niechaj się zbiorą,
Wybierz ze stajni co ci potrzeba,
Weź kilka szabel, charciąt kilkoro,
Zresztą nad Dnieprem nie braknie chleba.
Więc krzyż na drogę!« — Ha, pojechałem!
I nie złém bywa, co się złém wyda:
»Starego roskosz młodego biéda!«
Więc i o pannie méj zapomniałem! —
Gdzieśto za młodu, i pięknie grzeszém:
Hej, hej, pamiętam, jak to bywało,
Po dworach nie raz tam się bujało,
Kiedym sam jeszcze był towarzyszem! —
Co to za czasy! Co za kobiéty!
Oj nie zważano wtenczas tak wiele,
Na to dzisiejsze tam ceregiele.
Braterstwo było, duch pospolity!
Kiedy bywało człek się obejmie,
I jawném okiem spojrzy w oblicze:
To jakby w pułku, jakby na sejmie,
Jakby chciał mówić: »Na ciebie liczę!«
I gdy już liczył, to się nie mylił:
Bo kto już z drugim w zgodzie, w pokoju,
Rękę podawszy kielich wychylił,
To go tam pewnie nie rzucił w boju!
Więc, czy tam przyszło wręcz na pałasze,
Czy się umizgnąć, czy pocałować,
Czy ostro dotrzéć, czy brzęknąć w czasze,
Umiał człek jakoś sobą kierować!
A wszędzie czysto, grzecznie i gładko,
Jako kazałaś nam pani matko! —

Co to za życie! Kiedy od służby
Wolny w dzień jaki, po śnie wesołym,
Jakby po słowach szczęśliwéj wróżby,
Tym Ukrainy tchem odetchnąłem! —
Co się to we mnie wtenczas nie działo!
Bo co za świéże, zielone bory,
Co to tam zwiérza, jakie futory!
Hej, hej, pamiętam jak to bywało:

W środku futoru namiot mój pływa —
Niedźwiedź rzucony na mém posłaniu,
Przy ładownicy trąbka myśliwa,
I koń nie jeden twardy na staniu.
A koń »sahajdak«, klaczka »wéwiorka«,
Mundur i szabla i krymska burka,
Sokoł na berle — a tu na smyczy,
Lotny z rączości chart mi skowyczy.
A tu przedemną i za mną w koło,
W rosie i w woni, w kwiatach i w trawie
Leży świat Boży świéżo, wesoło,
I gra w mą duszę pełną nadzieją!
A tu nademną kruczą żurawie!
Wszystko się kocha, nieba się śmieją!
A step grzmi morzem, a koń się zrywa,
A grzywa końska z wiatrami pływa.....

O, dzisiaj jeszcze, ilekroć wiosną,
Świéży ten oddech owieje skronie,
Lub zwierz gdzieś pierzchnie! lub zarżą konie,
Jakieżto czucia w piersi nie rosną!? —
Dawna krew moja po żyłach chodzi,
Zda się że koń mój na kresach czeka,
Szukam gdzieś pułku! — A to pół wieka, —
Hej, hej, panowie! Co wy za młodzi!.....

»Czy to ma być już koniec?« zapytał wójt, »ale nie, nie! To więcej tego było! Prosimy o resztę!«

»Nie, nie było! A może i było, ale się zapomniało, czy zgubiło i przepadło, i nié ma!«

»Ha, niech i tak będzie!« rzekł wójt, wziął tacę i puścił się z nią po sali. Kilku poważnych obywateli, których poczciwy żywot skreśliłby niezawodnie Wilkoński dla potomności swém dowcipném piórem, gdyby miał szczęście znać ich osobiście, podpiérało plecyma wiernie ścianę sali, przez cały wieczór, siedząc obok siebie na ławce. W poważnéj swéj rozmowie, co było łazowego owsa, dograbali; co było ziemniaków, wypalili na gorzałkę; co było wołów w sanockiém, sprzedali na targach; potém westchnęli sobie ciężko kilka razy, a nasłuchawszy się do sytu spiéwu i wiérszy, mieli się już poważnie do spoczynku. Brzęk srébra na tacy przebudził ich. Piérwszy, do którego zakołatał wójt, rzekł z niechęcią, znudzony tą filantropijną swawolą: »Ja nié mam już nic przy sobie!« — Drugi, trzeci i czwarty toż samo. Na to dobył wójt długą zieloną sakiewkę i rzekł: »O, kiedy tak, to ja panów dobrodziejów najchętniéj zastąpię!« i położył za każdego po dukacie na tacy, mówiąc: »Staropolskie rzeczy płacą się złotem.« Obywatelstwo westchnęło ciężko, i każdy z nich miał taką minę, jak gdyby kończąc dyskurs o gorzelni, chciał dodać:

»Już nawet w ziemniaku,
Nie znajduję smaku!«

Obok nas w kole pań kilku, które przez cały wieczór nasz trefniś bawił, wszczęto teraz bardzo żwawą francuzką rozmowę o literaturze polskiéj.

»Nie pojmuję,« rzekł ktoś z boku, »jak się można rozwodzić nad polską poezyją po francuzku?«

»A, ja bardzo pojmuję,« rzekł pan Brunon, »bo chcąc coś powiedzieć o literaturze polskiéj po polsku, potrzeba pomyśleć, a po francuzku można mówić bez odpowiedzialności o wszystkiém, nie myśląc, frazesami.«

»A bądź też tak dobry i powiedz to tym paniom;« rzekł ktoś z boku głośniéj.

»Cóż takiego? Cóż? Prosimy!« zawołano z kilku stron razem.

»Mówiliśmy tu o francuzczyźnie,« rzekł pan Brunon obojętnie.

»To zapewne znowu wycieczka na francuzczyznę,« rzekła jedna z dam średniego wieku uszczypliwie; »to taka moda teraz, wymyślać na francuzczyznę. Bardzo prosimy, lubię te żwawe debaty, to bardzo jest zabawne, prosimy!«

»Nie wymyślałem na francuzczyznę,« rzekł pan Brunon, »chciałem ją tylko usprawiedliwić w kraju naszym.«

»Kto? pan Brunon chce popiérać sprawę francuzczyzny?« zapytało kilka głosów razem. »A to pięknie, a to rzecz osobliwsza i nowa!« dodali mężczyźni.

»Wcale nie!« rzekł pan Brunon. »Ja nie mówiłem, że jestem za francuzczyzną, co do osoby mojéj, ale widzę że kraj nasz musiał przejść koniecznie przez tę szkołę. Kto się do tyla już urządzi i ogarnie, że zadowolnił pierwsze i konieczne potrzeby życia, zaczyna pragnąć za wyższą roskoszą duchową, za wytworniejszém życiem umysłowém, lub przynajmniéj pragnie pochwycić jego pozory i osłonić niemi swą nędzę moralną.«

»Cóż za styczność ma mieć to żebractwo moralne z francuzczyzną i krajem naszym?« zapytał jeden z poważnych panów.

»Tę samą styczność, jaką ma żebrak z tym co mu jałmużnę daje;« rzekł pan Brunon.

»To nie jest wielki komplement dla nas wszystkich!«

Pan Brunon ruszył ramionami: »Zapewne! Bo też to nie jest komplement, ale smutna prawda! Francuzi położyli wielkie zasługi około cywilizacyi rodu ludzkiego i przodkowali mu przez wiele wieków; język ich stał się językiem dworów, konwersacyi, dyplomacyi i salonu, i całe życie ich przybrało pewien krój, który jest do naśladowania bardzo łatwy, już dla tego, bo jest powierzchowny, bo forma zewnętrzna stoi tu za treść. Wszystkie też narody, które wychodzą z barbarzyństwa, albo które nie stanęły jeszcze na stopniu samodzielności duchowéj i nie zdołają zadowolić wyższych potrzeb życia u-

tworami własnego ducha, idą do Francyi i kupują sobie gotowo jak w sklepie, rozum i ogładę. Zawsze świadczy to jednak o nędzy moralnéj, o niskim stopniu na którym kraj i naród stoi, jest to owa wrona w bajce, która się w pawie postroiła pióra, i ledwo nie na jedno wychodzi, mieć to przekonanie, że co francuzkie to mądre, jak powiedzieć z Moskalem, co czerwone to piękne. Przed pół wiekiem grasowała ta francuczyzna jeszcze i w Niemczech; póki nie mieli Niemcy Göthego, Szyllera, Kanta i Hegla; my poczynamy się już trochę otrząsać z tego barbarzyństwa. Rosyjanie uczą jeszcze na potęgę po francuzku całe pułki kozaków i wszystkich kuchcików; teraz świéżo prosperują guwernantki Szwajcarki i Francuzice najlepiéj na Wołoszczyźnie i w Mołdawii, a Turcy rozpoczęli dopiéro tę edukacyję paryzką, i francuzkie odaliski są dziś w wielkiéj cenie na wschodzie. Nie wątpię że i Hottentoci będą z czasem mówili po francuzku, i będą czytali Balzaka i Kocka w białych rękawiczkach, a świat będzie miał wikontów hotentockich, — bardzo to zabawna maszkarada!«

»*Ah c'est un peu trop!*« zawołała jedna z pań.

»Wcale nie!« mówił pan Brunon daléj, »gdybyście panie czytały, co świéżo jeden z naszych pisarzy o Lafiryndach mówi, toby mi panie przyznały jeszcze wiele umiarkowania. Żałuję tylko, że tyle poczciwéj i serdecznéj wymowy zmarnował na ten cel, bo kto mu przyzna słuszność nie potrzebuje nawrócenia, a pogaństwo, które nawrócenia potrzebuje, nie czyta go, bo wierzy podobnie Turkom tylko w jednę księgę, w Alkoran Paryża.«

»Bardzo, bardzo prosimy!« zawołała Klara. »Wymyślaj wpan na francuczyznę, co się podoba; ale daj pokój naszemu kochanemu W***.«

Co to za pióro, co to za serce!« zawołała druga.

»Piękniéj, szlachetniéj czuć nie można!« rzekła pani Krakowska.

»Nic nad niego! Nic nad niego! Bo podniesiem' krucyjatę!« zawołała trzecia.

»Pozwolicie panie i nam się przyłączyć do téj krucyjaty?« zapytało kilku mężczyzn razem.

»A na kogoż wyruszymy?« zapytała Klara.

»Ha, kiedy się tak poczciwe grono dobrało,« rzekł wójt, »to uderzcie na francuczyznę, a potém dla miłości i przyjaźni mojéj, na pana Jarosza Bejłę, za jego niegodziwe mieszaniny.«

»Co, na Beiłę? A, to miły ptaszek!« rzekł pan Brunon, »ale na niego nie potrzeba uderzać, jest on bowiem z rodzaju pośmieciuszek, których łapać nie potrzeba, bagno po którém się snują, trzyma je na uwięzi.«

»Że też się nikt dotąd nie znalazł, coby mu godnie odpowiedział, na te mieszaniny?« rzekła Klara, »i obracając się do mnie, dodała: »Proszę pana, napisz pan »*Niebejłę!*«

»Mościa dobrodziejko!« rzekłem, »to rzecz arcy trudna, pan Bejła wylazłszy na dach kościelny, pokazał światu figę i wystawił język światu; ktoby chciał ulicznika niepolitycznego ukarać i rzucić na niego kamieniem, o tym powiedzianoby, że na kościoł kamieniami rzuca. — Zresztą nie jest mojém przekonaniem, żeby była potrzeba odpisywania na takie książki, jak są mieszaniny obyczajowe, i powiém pani w téj mierze zdanie mojéj przyjaciółki, z którą nie dawno o panu Bejle mówiłem, rzekła mi: »To jest bardzo dobra książka! Tylko autor pomylił się w tém jednem, że ją po polsku napisał — i w tém widzę złą jego wiarę; w którymkolwiek z obcych języków, wydałaby się bardzo naturalnie, — lecz pisząc ją po polsku, podał jedną ręką truciznę a drugą lekarstwo przeciw niéj, — i wyniósł tylko z téj sprawy dla siebie sławę, że się bawi nie bardzo zaszczytném rzemiosłem.«

»Powiém też asańświu,« rzekł wójt, »co o rodzie autora »Mieszanin obyczajowych,« zwykł był mawiać ś. p. książę jenerał ziem podolskich: »Każdy z nich jest podobny do starego zamku, który już z daleka świéci, mury pyszne — architektura okazała — ale mieszkać nie można w nim — bo coś straszy!«

»Co-za trafne porównanie!« wykrzyknęli wszyscy, i powszechny śmiéch powstał.

»Osobliwa rzecz,« rzekła na to Klara po chwili, »pan Brunon chce w nas wmówić, że francuczyzna jest w nas jeszcze zarodem nieokrzesania, a wpan chcesz mię przekonać, że panu Bejle odpisywać nie potrzeba; — i cóż wam na to odpowiedzieć? Chyba to:

dajcie mi co dzień taki wieczór, to nie będę czytała ani Balzaka, ani Bejłę!«

»A, kiedyś pani dziś taki wieczór miała, nie potrzeba było mówić po francuzku!« dodał wójt, »więc za karę proszę na pogorzelców zapłacić grosz karny!«

»Bardzo chętnie,« rzekła Klara, »byłem nie była sama, bo nie wiém czym trzy słowa wymówiła po francuzku!«

»Daléj panie wójcie!« rzekł pan Maurycy, »chodźmy po kolei, dobrém sumieniem możem się u każdéj z pań przymówić o grosz karny.«

»Pójdźcie tak po całym kraju a zbierzecie sumy neapolitańskie!« dodała pani Krakowska.

Za oknami ozwała się teraz łazienkowa muzyka posuwistym marszem, dając znak że czas do spoczynku, — a potém szukano służących, salop i chustek, kłaniano, żegnano, odprowadzano panie do domów; po wszystkich oknach zabłysło światło przez nocne zasłony, a po chwili znalazło się znowu całe towarzystwo męzkie, z lulkami w ręku, z cygarami w ustach, na téj samej sali.

* * *

B A L.

Gdy my się śmicjem' i kiedy skaczem',
Nie jeden płacze żałosnym płaczem;
Toć te łzy otrzéć nie będzie grzéchem,
I dług przynajmniéj spłacić uśmiechem.

***

*

Nadszedł w końcu dzień balu, od południa poczęli się zjeżdżać z okolicy goście, koczami i karétami panie i panienki, na bryczkach panowie; w całych łazienkach nie mówiono o niczém, jak tylko o sali, którą bardzo pięknie przystroić miano, o kosztownych fantach, które zwieziono, o wystawnych toaletach pań, któremi zajaśnieć miały tego wieczora i o pysznéj zastawie stołów, na co znaczne wpłynęły składki. Ciekawość ciekawych była tém większą, że już od rana nie puszczano nikogo do sali balowéj, — nie przyjmowały panie zwykłych odwidzin i podobnież nie można było powziąć żadnéj wiadomości, jak która z pań ubraną będzie, bo nawet szczebiotliwe subretki zachowały milczenie, mistyfikując ciekawych na przelocie po korytarzach. — Na dwie godzin może przed rozpoczęciem zabawy, widziano kilkanaście pań i panienek idących do sali z gospodarzami balu, za niémi zamknięto znowu drzwi i nie puszczono nikogo. — Służba latała ciągle tam i sam, z domów do sali, z sali do domów, przenoszono stoliki, dywany, źwierciadła, z świecznikami, z oprawionémi świécami, tace z naczyniem i srébrem, kosze i koszyki z kwiatami i Bóg wié z czém, bo były nakryte. Od czau do czasu przemykało kilka pań nowych ku sali, nie wzywając usług mężczyzn, którzy się już gromadnie byli zebrali na placu przechadzek, nie przyjmując nawet podanéj ręki, — za wejściem każdéj nowéj partyi zamykały się znowu drzwi téj tajemniczéj świątyni, i panowie nie spostrzegli się nawet, jak się wszystkie panie cichaczem przeniosły do sali. Wszystkie ruchy tego wieczora zakrawały coś na jakąś mistyfikacyję, — szukano wójta, żeby wyjaśnił tę tajemnicę, ale wójt był już znikł od południa i Maciej nie wiedział sam, gdzie się pan jego podział. — Muzyka wypoczywając przed balem, nie grała tego wieczora; głucho tedy przechadzało się po balowemu wystrojone grono mężczyzn, niecierpliwiąc się w końcu, gdy już zmrok dobrze padać począł, a nikogo jeszcze nie puszczano do sali.

»Patrzcie! Patrzcie!« zawołał pan Brunon. »Jakiś posłaniec pędzi z pudłem, pewnie jakieś czuby wiezie!«

»To posłaniec od Tytusa!« rzekł ktoś inny. Posłaniec tymczasem z-skoczył z konia i wręczył mi kartkę.

W koszu było mnóstwo małych bukietów, powiązanych ozdobnie białemi wstążkami. Chciwie rzuciła się na nie młodzież. »Powoli, mościpanowie!« zawołałem. »Pan Tytus przeznacza te kwiaty dla pań, a kto się z panów chce przysłużyć bukietem, niech się naprzód z panem Maurycym rozmówi.« Panowie zrozumieli rzecz, i w jednéj chwili rozerwano i zapłacono kwiaty.— Sala oświéciła się tymczasem, muzyka ozwała się szumnie, i równocześnie pojawił się wójt, wzywając wszystkich za sobą.

Panie nie bywają nigdy niczém wiécej uradowane, jak kiedy im się uda niewinnym żartem uwieść mężczyzn czasem: więc

można sobie łatwo wyobrazić tę radość, która jaśniała na twarzach, gdy ujrzały powszechne zadziwienie wchodzących do sali panów i z okolicy przybyłych gości.

Po balowemu, z bukietami w ręku wystąpili mężczyźni, a panie w zwykłych codziennych strojach, jak gdyby w domu przyjmowały gości przy codziennéj herbacie. Cała też sala była po temu urządzoną i ubraną, a już na pierwszy rzut oka czuć się to dawało, że nie panowie ale panie kierowały jéj urządzeniem, bo nie było kosztowne, ale wykwintne, pełne domyślności niewieściéj, wytworności i gustu.

Dwa rogi sali ubrano w piramidy z fantów ułożone; wytwornie a w pięknym niby nieładzie stało ugrupowanych kilkanaście większych i mniejszych stolików z zastawą do herbaty.

Każdy z tych stolików był inaczéj przystrojony w kwiaty, i innémi świécznikami lub lampami oświécony rzęsisto; przy każdym witała jedna z pań przybywających, robiąc honory, niby we własnym salonie. W istocie był salon w téj chwili nie do balowéj sali podobny, ale raczéj do pięknéj galeryi ruchomych obrazów; zdało się, że ciche sceny wieczornéj zabawy kilkunastu domów, przesuwają się obok siebie przed oczyma. Każda z pań prosiła na swoją herbatę, a po chwili zatoczono małe kółka około każdego stolika. Mistyfikacyja dała powód do wielu zabawnych scen i zapytań, a do powszechnéj zgody posłużyła się z jednéj strony herbata, a z drugiéj w małych bukiecikach podana rezeda.

Niewinny ten żart zrobiły sobie panie, urządzając ten bal według swéj myśli i zacnego popędu serca, i dały panom tę małą nauczkę: »iż wyprawiając zabawy na korzyść nieszczęśliwych, należy oszczędnie gospodarzyć tym groszem, który ma łzy otrzéć.«

Przepych tedy umiały zastąpić gustem, wytworną zastawę stołów zwykłą codzienną herbatą, a co miano wyłożyć na ubranie i oświetlenie sali, na wytworne toalety dam, na służbę i przybory do zwykłych balów, którym nie ma końca: to wszystko wpłynęło do składki, na korzyść pogorzelców.

Po herbacie uprzątnięto salę i rozpoczęto tańce, a poczciwy rotmistrz od huzarów, biorąc nas kilku do ościennego gabinetu, rzekł: »Właściwie nic nie straciliśmy na tém, że sobie panie z nas zażartowały, bo herbata *tête à tête* ledwo że nie lepsza od ubrania sali, a panie uśmiéchały się tak wdzięcznie, że gdyby były już nie wiém jak wystrojone, więcéjby się nie mogły podobać. — Lecz cóżbyście na to powiedzieli panowie, gdybym ja był z damami w komplocie i zrobił wam, jako piwnyczny, podobny żart z winem? — Co panie hrabio?« mówił daléj do wójta. »Wszak prawda, z winem nie można zrobić takiego »*quid pro quo*«? Więc wypijmy zdrowie zacnych Polek, a jako Węgrzyn piję takie zdrowie tylko Tokajem! Dawaj Tokaja!« — I tu rozpoczęły się toasty. — Wesołość była powszechną, na chwilę przerwała szumną zabawę loteryja i tańczono do białego dnia. Nawet poczciwi górnicy czescy, którzy tańce grali tego wieczora, szukając zarobku po świecie, gdy usłyszeli że dochód z tego balu jest przeznaczony na korzyść nieszczęśliwych, oświadczyli że nie przyjmą nagrody za swoją pracę, ale ofiarują ją do wspólnéj składki; — podziękowano im tedy od serca i uczęstowano ich sutą wieczerzą i winem, a ja uwierzyłem poraz pierwszy w życiu w praktyczną stronę słowiańszczyzny!

*

Od owego tedy wieczora gdzie się spuścił ów powóz z smutną wieścią o nieszczęściu Rzeszowa ku dolinie łazienek, był upłynął tydzień, a zacna myśl, którą przy owym herbacianym stoliku podała pierwsza pani Julija, przyniosła już równie zacny owoc Cały tydzień mieli się wszyscy czém zająć, mieli się czém zabawić, mieli o czém żartować; cały tydzień upłynął miło i z korzyścią dla ciérpiących, a bez nudów, obmowy i obrazy pana Boga. — Bogdaj się nigdy nie paliły miasta, ale niech wieść o nieszczęściu bliźniego uderza zawsze o tak zacne serca, aby zawsze można tak skończyć jak się zaczęło:

»Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nie źli są ludzie!«

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 14. i obejmuje: 1) Jakie są powierzchowne oznaki gruntu, pod którym margiel znajduje się ukryty? (Jako ciąg dalszy artykułu: »O sposobach użyźniania gruntów piaszczystych.) 2) Doświadczenie z parzonką pana Höfera. 3) O świerzbie końskim i o sposobie leczenia onego. 4) O sadzeniu owocowych drzewek.

U Pillera i spółki we Lwowie, 1844, wyszła: *Nauka języka polskiego z zasad Szrzeniawy*, zeszyt I. — Otóż jedna z tych książek, które pojawiając się u nas chociaż nie często ale za to z całą potęgą twórczéj oryginalności, każą nam wreszcie zaprzestać tych ciągłych nbolewań iż tak mało książek u nas wychodzi. Jest ona wprawdzie już drugiém dziełem Szrzeniawy w przedmiocie języka polskiego, lecz będąc dopiéro pierwszém w języku polskim przez niego napisaném, jest téż słusznie pierwszém, które zwraca uwagę ziomków na siebie. Chociaż nie zaraz może nastąpi że je dostatecznie ocenią. Nasz autor bowiem wykłada swoją naukę nowym wcale sposobem, a nowość i oryginalność, jakkolwiek zdajemy się na pozór jéj pragnąć i poszukiwać, — potyka przy swojém wyjściu na świat zawsze prawie niechęć u ludzi, tych stworzeń wygody i nałogu. Ztądto, kiedy autorowi koniecznie dla nowych myśli nowych téż słów potrzeba, ludzie muszą się skarżyć na jego niezrozumiałość; kiedy autor, chcąc ustalić zasady swojéj szczególnéj umiejętności na ogólnych prawdach filozofii, zniewolony jest myślą i słowem zaciekać się w jéj głębiny, oni pomówią go o niepopularność. I lubo podobne pomowienie musi być przykre dla zasłużonego autora, wchodząc w istotę ogółu czytelników i dzieła, wypada przyznać iż ta skarga poniekąd słuszna. Bo dziś, kiedy nauki przestały być jednéj tylko kasty udziałem, i cała czeladka do stołu wiedzy się garnie, jest obowiązkiem każdego pisarza mieć zarówno wzgląd na swój przedmiot jak na stopień jego użyteczności dla ogółu. Owoż ten stopień użyteczności przez powszechną zrozumiałość nie odpowiada wewnętrznéj wartości dzieła Szrzeniawy. Nie czyni to ujmy prawdom, które on w swojéj książce odkrywa, lecz czyni ujmę samemu pisarzowi. Prawdy w jego dziele zamknięte przejdą prędzéj czy później w ogół, — lecz przejdą przez kogo innego uprawione, cudzą ręką podane; a czemuż nie ma nam je podać tak już jasne i zrozumiałe ta sama śmiała ręka co je na świat dobyła? — *Sz.*

Z Warszawy: *Przegląd naukowy* na rok 1844 zawiera: N. 1. O posłannictwie dziejowem narodów, przez Libelta. — Drugi ułamek z pieśni gęślarza p. Gabrijellę. Trzeci urywek z pieśni gęślarza p. Narcyzę Z. — O zajęciach się literackich Józ. Dyoniz. Minasowicza. — Uczony a nieznajomy naturalista polski Wojciech Zborzewski, przez Mazura z Płockiego. — Kronika piśmiennicza polska. Nowiny. — N. 2. Ludy germańskie uważane w spełnieniu dziejowego posłannictwa swego; jako dalszy ciąg artykułu: O posłannictwie dziejowém narodów, przez Libelta. — O niedorzeczności mniemań we względzie wynikającéj szkody z uprawy płodów pokarmowych na wywóz za granicę; rzecz napisana przez b. prof. ekon. polit. w lyceum warszawskiem.— Nowosci.

Los Don Karlosa, syna Filipa II. hiszpańskiego nie jest jeszcze bynajmniéj wyjaśniony dostatecznie od historyków. P. Raumer wprawdzie mniema iż dowiódł niezbicie naturalną śmierć krolewica, ale się myli. Don Karlos został ściętym. Pewien niemiecki książę, który na dworze Ferdynanda VII. w Madrycie gościł, widział w Eskurialu ciało nieszczęśliwego infanta nabalzamowane; w trumnie nawet była głowa oddzielona od tułowu. Że innym podróżnikom którzy także w Eskurialu byli, trumny Don Karlosa nie otwierano, łatwo się da wytłumaczyć; gdyż i dla owego księcia potrzeba było osobnego na to pozwolenia od króla.

Bernadotte na wyspie Korsyka. Pan Mermilliod, członek francuzkiéj izby deputowanych, ogłasza w *Journal des Débats* szereg artykułów opisujących wyspę Korsykę. W jednym z takich zarysów wspomina także bardzo pomocne a w Europie prawie wcale jeszcze nieznane mineralne źródła wyspy, z których jedno ma nawet swą skutecznością przewyższać źródło *Vichy*. Ale i zwyczajna woda do picia ma być tam nader smaczna i rzeźwiąca. Tak naprzykład chwalił Napoleon — kosztowawszy już przecie wodę ze wszystkich europejskich studzień — ową z *Cardo* przy Bastyi za najlepsą na całym świecie. Wszyscy téż w Bastyi, których tylko na to stanie, piją wodę z *Cardo*; a naszemu podróżnikowi przynosiła ją jakaś bardzo stara kobiéta, utrzymująca się z téj nsługi. Inny los wcale był niegdyś przeznaczony staruszce. Pan Mermilliod opowiada: »Bernadotte, (do niedawna) król szwecki, był w r. 1787 prostym żołnierzem w pułku *Royal-Marine* i pracował jako taki przy budowaniu gościńca z Bastyi do St. Florent. Francesca była wtedy młodą i piękną i sprawiła tak mocne wrażenie na serce Bearneńczyka, iż się jął starać o jéj rękę. Nie posiadając jednak nic jeszcze wtenczas oprócz swego munduru, otrzymał biédak odkosza, i stało się więc tym sposobem, iż owa kobiéta, któraby tron z nim była dzieliła, nosi dotychczas wodę w Bastyi. Okazuje się w ogólności, że Bernadotte miał podówczas wielką skłonność do małżeństwa. Wkrótce potém został podporucznikiem, a mając już w tym stopniu więcéj wolnego czasu, z którego niezmordowana jego czynność zawsze korzystać umiała, spędzał kilka godzin codziennie na odpisywaniu za bardzo mierną cenę różnych aktów i dokumentów dla niejakiego Imbricco, notaryjusza rządowego. Znajdują się nawet do dziśdnia w archiwach Bastyi i Ajaccio liczne ręką jego pisane papiéry, chociaż jak słychać większa ich część zaginęła. Pomieniony tedy notaryjusz miał dwie córki, i nie potrwało długo, już się żywy Bernadotte w jednéj zakochał. Pewną jest rzeczą, iż prosił pana Imbricco o jéj rękę; ale ten, nietylko iż nieważając na galony podporucznika, odmówił mu swojéj córki, lecz go nawet zupełnie z swojéj kancelaryi oddalił, aby przeciąć od razu wszelką znajomość obojga młodych kochanków.

Pewien kaligraf w Ypern miał wynaleźć znowu chrysografiję *en relief*, i jak powszechnie zapewniają, nie można sobie wystawić nic piękniejszego nad ozdoby, które w ten sposób wykonywa. Znawcy uważają tę sztukę za najszacowniejszy wynalazek, jaki nowsza kaligrafija zrobiła. Jak się zdaje, wypełnia się rysunek najprzód jakimś gęstym płynem, który się staje przy zaschnięciu wypukłym, a potém złoci się i wygładza. (Chryzografija czyli sztuka pisania i malowania złotem, znana już była u Rzymian; najpiękniejszym chryzograficznym rękopismem średnich wieków jest księga ewangelii w katedrze akwisgrańskiéj, wyjęta przez Ottona II. z grobowca Karola wielkiego, na którą niemieccy cesarze przysięgę koronacyjną składali.)

Najstarszym człowiekiem w Paryżu a może i w całéj Europie jest p. Noel de Guerson-

nière, który 29. lutego r. b. 117ty rok życia zaczął. Będąc urodzonym w dniu przestępnym, obchodził w tym całym przeciągu tylko 29 urodzin. Ma się jeszcze dość dobrze. — Inny stary człowiek, 114letni p. Ducercle, umarł w departamencie Saony i Ligiery, w Charolles, na paraliż. Najstarszy syn jego ma już 87 lat, a jeszcze ani jednego siwego włosa.

Od kilku lat wynaleziono we Włoszech nowy sposób leczenia na niektóre choroby, to jest: naturalną kąpiel gazową. Przy budowaniu myśliwskiego pałacyku dla jednego z książąt neapolitańskich, natrafiono na miejsce, gdzie się z-pod ziemi mocne amonijakowe pary wydobywały. Otoczono to miejsce murem i urządzono na sposób izby, w któréj teraz osoby cierpiące od dawna na sparaliżowanie różnych części ciała, żadnémi dotąd środkami nie wyleczone, kąpią chorą część ciała w gazie, który się tylko do pewnéj wysokości w powietrzu wznosi. Po upłynieniu kwadransa rozgrzéwa się chory członek, czerwienieje, i zaszło już wiele wypadków że ta nowa łaźnia cudownie skutkować miała.

W ó ł m i ę s o p u s t n y i d a n d y. Pewne towarzystwo złożone z eleganckich dam i dandysów wpadło na osobliwszą myśl znajdowania się przy straceniu kolosalnego paryzkiego wołu mięsopustnego. Mnóztwo tedy najdelikatniejszych, najtkliwszych i najsentymentalniejszych młodych dam przypatrywało się, trzymając w jednéj ręce lornetkę, w drugiéj flakonik, z słodkim uśmiéchem temu krwawemu widowisku; żadna z nich nie pobladła gdy wół padł pod zabójczym ciosem; ale za to jeden z kawalerów, markiz de * — zemdlał.

P o d r z u t k i w M o ł d a w i i. W wydaném niedawno pismie Bucha: »O Mołdawii i Wołoszczyźnie,« czytamy między wielą innémi zajmującemi szczegółami: »W Jasach zachowuje się oddawna zwyczaj podrzucania nowonarodzonych dzieci pod drzwi kościoła metropolitańskiego. Wszystkie tak znalezione dzieci każe arcybiskup (naczelnik greckiego kościoła w Mołdawii) na swoje koszta aż do ośmiu lub dziesięciu lat wychowywać; a po tym czasie znajdzie się zawsze ktoś taki, co zechce wziąć siérotę do siebie. Jeźli zaś osoba, podrzucająca takie dziecko pod metropoliję, bywa schwytana na uczynku, natenczas biorą ją, przymocowują jéj do piersi ciężką wagę żelaza w kształcie małego dziecka, i każą jéj dotąd je nosić po dziedzińcu kościelnym, aż póki nie wyda matki dziecięcia, która więc przyprowadzona i tym samym sposobem ukarana, musi odebrać swoje dziecko. Co wszakże tylko wtedy się dzieje, jeźli powyższa kara samych ludzi z gminu ma dotknąć; w przeciwnym razie bywa dziecko wzięte bez najmniejszego oporu na wychowanie, i wszelkie dalsze śledztwo ustaje. —

O b i a d y a n g i e l s k i é j a r y s t o k r a c y i. Ponieważ obyczaje angielskiéj arystokracyi przy ucztach od kilku lat znacznym uległy zmianom, tedy przytoczymy tu nieco o tym przedmiocie podług opisu jednego z podróżnikków francuzkich. Madera wyszła od niejakiego czasu z używania u stołów angielskich. Wina Xeres i Porto, do których się czasem przy ucztach dyplomatycznych lub uroczystościach rodzinnych dodają wina reńskie, szampańskie i Bordeaux, są teraz jedynemi, które u stołu bogaczów widać. Porto bywa głównie dla tego poszukiwane, iż jest najmocniejszém ze wszystkich, i że nie mącąc głowy przyczynia się do strawienia. Wypada jednak aby było jak najlepszego gatunku, stało przynajmniéj ośm lub dziewięć lat w piwnicy i przejechało się kilka razy przez ekwator. Pięciu do sześciu służących w krótkich spodniach, jedwabnych pończochach i z upudrowaną głową, usługuje zwykle przy stole. Przy każdém daniu zmieniają się talerze; żeby jednak goście nie myśleli iż się im podaje ten sam świéżo umyty talérz, który służył przed chwilą sąsiadowi, ustawia się cały serwis z wszelkiem naczyniem śrebrném w kształcie piramidy na boku. Po rybach, które się zawsze naprzód obnoszą, wyzywa gospodarz najznakomitszego gościa do wina, przyczém wszakże tylko wtedy wezwanéj osobie najpierwéj się naléwa, jeźli jest damą. Staroświecki zwyczaj wychylania w takim razie całej szklanki, ustał już wcale; damy ledwie do ust przytykają. Po rybach następują pieczyste, jarzyny i owe delikatne sosy, które każdemu gościowi podają łatwy sposób wybrania sobie najwyborniejszych przysmaczków gastronomicznéj sztuki. Za tém idzie dziczyzna, a wreszcie pudding, który zawsze do pory roku zastosowany być musi. Tejto ostatniéj potrawie winne angielskie dzieci swe czérstwe zdrowie i swoję piękną cerę. Po zdjęciu obrusa zastawiają na stole z świécącego *acajou* wonny desert. Cukrów i konfitur znajduje się tam bardzo mało; natomiast widać owoce ze wszystkich części świata, w szykowne grupy poukładane. Najpiękniejsze ananasy, winogrona migdały, czerwone orzechy, daktyle, figi leżą do wyboru przed gośćmi. Wino na desert podaje się w samych kryształowych i rzniętych flaszkach, które stoją w srebrnym koszyku, są opatrzone nadpisami i posuwają się po gładkim stole z miejsca na miejsce. Skoro damy powstały, zaczynają mężczyzni kosztować wina; zwyczaj upijania się jednak pozostał chyba jeszcze u szlachty wiejskiéj i myśliwych; *gentleman* przyzwoity, którby bełkocąc niezrozumiale słowa i o niepewnym kroku wrócił z obiadu do swego *drawing-room*, utraciłby natychmiast wszelką wziętość w dobrém towarzystwie. Podobne obiady kończą się zazwyczaj o 10. godzinie wieczór; poczem udaje się kompanija do salonu damskiego na herbatę lub kawę.

S k u t k i k r z y w o p r z y s i ę z t w a. Jedna z petersburskich gazet opowiada nastepujące zdarzenie podług urzędowego doniesienia z gubernii ołoneckiéj. Pewien wieśniak, trudniący się handlem ryb w okolicy, poszedł w listopadzie przeszłego roku do miasteczka powiatowego Kargopol i kupił od jednego z tamtejszych uprzywilejowanych rybaków 8 pudów czyli 320 funtów ryb. Nie zapłaciwszy jednak za to zniknął potajemnie z miasteczka. Ow rybak odszukał go niebawem i zapozwał do sądu. Z-razu nie przyznawał się chłop do długu; późniéj wszakże, będąc napomnionym od wójta, oświadczył iż gotów jest zapłacić, skoro kupiec na święte obrazy zaprzysięże: że chce oślepnąć, jeźli niesłusznym sposobem pieniędzy żąda. Kupiec zaprzysiągł śmiało, a chłop złożył pieniądze; lecz przysiągł także, iż dwa razy zapłacił. Po ukończonéj sprawie udał się wieśniak w drogę, aby zakupione ryby po innych wsiach rozprzedać; ale nagle oślepł na obie oczy i nie mógł kroku postąpić. Jakiś przejeżdżający chłop zastał go w tym nędznym stanie na polu, wziął go wraz z towarem na swoje sanie i zawiózł do jego sioła. Tu w obecności gromady i księdza wyznał dopiero iż fałszywą przysięgę złożył i że ów rybak miał prawdę.

P r ó ż n i a k jest w niedzielę Chrześcijaninem, w poniedziałek Grekiem, we wtorek Persem, we środę Assyryjczykiem, we czwartek Egipcyjaninem, w piątek Turkiem, w sobotę Żydem. Te bowiem dnie są dniami odpoczynku pomienionych narodów.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.